Myśl Polska

DWUTYGODNIK POŚWIĘCONY ŻYCIU I KULTURZE NARODU

POLISH THOUGHT — FORTNIGHTLY REVIEW

Nr 158 (Rok X, Nr 15) 1 sierpnia 1950 Cena (Price) 1/6

CO MYŚLI CZŁOWIEK Z TŁUMU

OBROŃCY stanu rzeczy wytworzonego przez nominację gabinetu p. Tomaszewskiego w kwietniu r. ub., zwykli się powoływać na opinię „człowieka z tłumu" — tłumu emigracyjnego oczywiście —, który jakoby z tego obrotu spraw jest zadowolony i w czambuł potępia wichrzących „partyjników".

Wystarczy wmieszać się w masę emigracyjną i porozmawiać z ludźmi, by się przekonać, jak czcze i nieprawdziwe są takie twierdzenia. Wśród emigracji polskiej znajduje się niewątpliwie pewna ilość jednostek, które tak dobrze czuły się w przedwojennym systemie i klimacie politycznym, że pragnęłyby dalszego jego trwania w tej czy innej postaci. Są to przeważnie ludzie z dawnej biurokracji sanacyjnej i tych kół wojskowych, które czy to z tradycji czy z oportunizmu związane były z obozem pomajowym. Na stanowisko ich wpływ rozstrzygający wywierają bądź wspomnienia, bądź po prostu przyzwyczajenia i nałogi —, nie dziw też, że niemal z reguły są to ludzie starsi lub u schyłku wieku średniego. Znane okoliczności sprawiły, że są oni znacznie liczniej reprezentowani na emigracji niż w kraju.

Jeśli jednak weźmiemy pod uwagę większość emigracji,— nie wyłączając przeważającej części starszego pokolenia — to stanowisko jej jest inne. Szerokie rzesze emigrantów szczerze pragną zachowania ciągłości prawnej Państwa Polskiego i jego naczelnych organów i dlatego stanowczo odżegnywają się od negatywnych w tej mierze wystąpień pp. Mikołajczyka, Kota czy Popiela. Równocześnie jednak każdy jako tako poinformowany o sprawach politycznych Polak na emigracji — z wyjątkiem skrajnych epigonów BBWR czy Ozonu — jest przekonany, że utrzymanie ciągłości prawnej państwa nie może być równoznaczne z zachowaniem przedwojennych metod rządzenia ani też z pozostawieniem monopolu władzy grupie wówczas stojącej u steru. Oznaczałoby to kontynuowanie otwartej lub utajonej wojny domowej, jaką grupa ta narzuciła społeczeństwu, chcąc je przy użyciu siły utrzymać pod swą wyłączną władzą. Niosłoby to rozkład nie tylko w stosunki emigracyjne, ale byłoby też zupełnie sprzeczne z tym porządkiem ustrojowym i moralnym, jaki pragnęlibyśmy widzieć w przyszłej oswobodzonej Polsce. Zdawałoby się, że jesteśmy zgodni co do tego, że Polska nie może być krajem rządzonym po dyktatorsku, — że jedną z zasadniczych cech jej ustroju musi być swobodna, choć utrzymana w ryzach porządku prawnego, gra sił społecznych i politycznych, których głównym wyrazem są stronnictwa polityczne, a w konsekwencji także możność przechodzenia władzy z rąk jednych ugrupowań w ręce drugich — bez wstrząsów i zamieszek wewnętrznych, a tylko w wyniku swobodnie wyrażonej woli narodu.

By system taki mógł w ogóle funkcjonować, konieczne jest uznanie pewnych podstawowych „zasad gry" w tym ścieraniu się sił politycznych i wykształcenie się odpowiednich obyczajów życia zbiorowego. W przeciwnym razie Polsce grozić będzie zawsze anarchia lub dyktatura, — na emigracji zaś wszelkie próby narzucania politycznego monopolu przez pewną grupę, podobnie jak wszelkie działanie samopas, doprowadzać muszą z konieczności do rozbicia — takiego, jakiego świadkami jesteśmy dzisiaj.

Konieczne jest znalezienie w środowisku emigracyjnym takich form współżycia, które by nie tylko zapewniły maksymalną skuteczność naszym wystąpieniom zewnętrznym, ale zarazem stwarzały — w tym zakresie, na jaki stać emigrację — właściwy grunt i klimat psychiczny dla przyszłego ustroju Polski.

Przeforsowana przez rządzący obóz sanacyjny w r. 1935 konstytucja — nie mówiąc już o opartej na niej praktyce rządzenia — w swej "czystej" formie nie daje podstaw do funkcjonowania władz państwowych ani na emigracji, ani w przyszłości w kraju, w duchu powyższych, powszechnie zdawałoby się przyjętych, zasad. Ponieważ konstytucji nie można było zmieniać w czasie wojny poza krajem, uzupełniono ją pod koniec r. 1939 znanymi postanowieniami, ujętymi w tzw. „umowę paryską"; przez postanowienia te i późniejszą praktykę, stosowaną przy zmianie rządów, konstytucja z r. 1935 pozbawiona została swego dyktatorskiego i monopolistycznego ostrza. Zmianę ustawy konstytucyjnej odłożono do czasu, gdy w sprawie tej wypowiedzieć się będzie mogło swobodnie całe społeczeństwo w kraju. W ten sposób uratowana została zasada ciągłości prawnej państwa przy równoczesnym zerwaniu ze złymi pozostałościami, które by zatruwały i paraliżowały współpracę między Polakami na emigracji.

Ów kompromis polityczny, który był wyrazem narodowego zmysłu samozachowawczego i zwykłego rozsądku, naruszony został ciężko przez wydarzenia ostatnich kilkunastu miesięcy, — wydarzenia, które nie są niczym innym jak próbą powrotu do przedwojennych monopolistycznych metod rządzenia. Czuje to doskonale, wbrew wszystkim sofizmatom i pokrzykiwaniom na „partyjnictwo", człowiek z tłumu i zdaje sobie sprawę, że jedynie linia, jaką reprezentują stronni-

ctwa zgrupowane w Radzie Politycznej — linia nacechowana umiarem i poczuciem odpowiedzialności — rozładować może istniejące napięcie i stworzyć warunki dla zgodnej akcji w sprawach dla narodu kardynalnych i gardłowych. Zdają sobie też ludzie sprawę z tego, że niepodobna będzie wyjść z obecnego impasu bez zmian personalnych nawet na najwyższych stanowiskach państwowych. Konieczny jest nowy start, który by odświeżył całą atmosferę.

Technika przemian, jakim winno ulec nasze życie polityczne, nie może być oczywiście przedmiotem szczegółowych rozważań człowieka z masy emigracyjnej, za mało bowiem ma on do tego danych, — doskonale natomiast wyczuwa on kierunek, w jakim zmiany te pójść powinny. Niezawodny instynkt mówi mu również, że dalsza konsolidacja sił polskich na emigracji nastąpić może tylko, o ile między poszczególnymi odłamami społeczeństwa nie wyrosną bariery psychologiczne, kładące na długi czas tamę wszelkiemu porozumieniu. Dlatego ogół emigracyjny stanowczo potępia metody stałego judzenia i jątrzenia jednych Polaków przeciw drugim, uprawiane przez niektóre pisma emigracyjne.

Pod tym względem periodyki, reprezentujące gabinet p. Tomaszewskiego, dają często, numer po numerze, widowisko wręcz gorszące. Jak ich redaktorowie wyobrażają sobie skuteczną walkę o wspólny front wobec obcych, walkę o Lwów i Wilno, o miejsce Polski w świecie — trudno w tych okolicznościach zrozumieć. Pisma te, a zwłaszcza jedno z nich, w osobliwy zaiste sposób bronią legalizmu: piętnują ustawicznie szerokie rzesze Polaków jako przestępców przeciw własnemu państwu, zwężają podstawy tego legalizmu w jak najbardziej niebezpieczny sposób i hamują wszelkie wysiłki w kierunku ruszenia z martwego punktu, w jakim całe zagadnienie ugrzęzło.

Z drugiej strony napotykamy na „liberum veto" komitetu pp. Mikołajczyka, Kota i Popiela oraz jego organów prasowych. Zaciekłość polemiczna „Narodowca" z Lens — nie tylko „Narodowca" — często znacznie przekracza granice, poza które członkom jednej społeczności narodowej wychodzić nie wolno.

Czynniki sanacyjne niestety zachowują się w taki sposób, że trudno uniknąć wypomnienia im co czas pewien różnych smutnych wydarzeń lat ubiegłych. Nie wolno jednak czynić tego w taki sposób, by wkładać broń w ręce wrogów Polski, którzy — bądźmy to pewni — starannie zbierają wszystkie tego rodzaju wynurzenia celem wyzyskania ich w odpowiedniej chwili. Nie wolno też wytaczać wprost do obcych czynników naszych spraw wewnętrznych w formie oskarżycielskiej i jątrzącej. Jedno i drugie robione jest, niestety, przez ludzi z grupy Mikołajczyka.

Niebezpieczeństwa, grożące Polsce, są olbrzymie. Zamiast je w miarę możności odwracać, zamiast stwarzać narzędzia wspólnego skutecznego działania, niektórzy Polacy jeszcze te niebezpieczeństwa zaostrzają — często nie ze świadomej złej woli, ale przez swe zaślepienie, osobiste kompleksy i ambicje, czy wreszcie brak właściwych perspektyw politycznych.

KOREA I ŚWIAT

Postępy wojsk komunistycznych na Korei trwają w dalszym ciągu. Amerykanie wyładowali dwie nowe dywizje i przeszli do lokalnych przeciwnatarć na wschodnim wybrzeżu, cofając się nadal na zachodzie. Z głosów komentatorów radiowych amerykańskich zdaje się wynikać jednak, że nie ma mowy o posłaniu na Koreę naprawdę poważnych sił wojskowych amerykańskich. Można przypuszczać, że Amerykanie zrobią wszystko, by utrzymać przyczółek na lądzie azjatyckim, ale nie mają zamiaru zbyt wielkim kosztem osiągać szybkiego zwycięstwa. Inaczej mówiąc, nie chcą się dać wciągnąć w wielkie działania wojskowe na terenie dla siebie bardzo niewygodnym, gdzie każdej nowej dywizji amerykańskiej przeciwstawić można parę dywizji azjatyckich. Stany Zjednoczone zdają się godzić z możliwością długiej lecz ograniczonej kampanii koreańskiej, której wynik zależeć będzie od rozwoju konfliktu w całym świecie.

Polityka amerykańska, przy pewnych pozorach krewkości, jest w gruncie rzeczy bardzo ostrożna. Amerykanie nie wiedzą, nikt nie wie, czy Sowiety uznały, że nadchodzi czas do wywołania trzeciej wojny światowej. Gdyby były pewne, że tak, przeszłyby całkowicie na politykę wojenną, tj. na pełną mobilizację gospodarczą, wojskową i dyplomatyczną. Ale przestawienie takie, jeśli Sowiety jeszcze nie chcą wojny, szłoby na rękę przeciwnikowi. Ameryka sama wojny zaczepnej nie zacznie, a pełna mobilizacja przy unikaniu prowokacji przez Moskwę prowadziłaby do wyczerpania gospodarczego i rozkładu psychicznego Zachodu. Amerykanie obawiają się bardzo przekroczyć to, co nazywają „point of no retreat", punktu nieodwracalnego wkroczenia w wojnę. Stąd ich ostatnie posunięcia w kraju i w świecie mają charakter kompromisowy. Prezydent zażądał szerokich pełnomocnictw, które pozwolą mu ewentualnie bez uprzednich obrad Kongresu zarządzić w każdej chwili pełną mobilizację. Równocześnie jednak planuje się obecnie tylko podwojenie szczupłych sił lądowych Stanów, co wystarczy na skuteczną obronę Korei i posiadanie zapasowego korpusu ekspedycyjnego z kilku dywizji. Mobilizacja przemysłu nosi, przynajmniej na razie, charakter częściowy. Nie zapowiada się obecnie racjonowania ale mówi o możliwości wprowadzenia kontroli cen.

Najważniejszą cechą ostatnich wystąpień rządu Stanów Zjednoczonych jest wyraźne podjęcie przewodnictwa i odpowiedzialności za świat zachodni. Ameryka naprzód posłała swoje wojska na Koreę a następnie zażądała pomocy od innych państw. Teraz uchwaliła nowe poważne kredyty na swoje siły zbrojne a następnie na pomoc dla państw paktu atlantyckiego. Zaczęła mobilizację swego przemysłu i rezerw ludzkich, ale coraz wyraźniej żąda tego samego od państw, którym pomaga materialnie.

Zebrała się w Londynie narada państw paktu atlantyckiego. W chwili, gdy piszemy te słowa, nie znamy jeszcze jej wyników, ale trudno spodziewać się, by państwa te nie zastosowały się do przykładu Ameryki. Narada najwyżej ujawnić może temperaturę gotowości lub ociągania się. Niepokój państw zachodnio - europejskich jest zupełnie zrozumiały. Nie mają one w razie konfliktu zbrojnego przed sobą owych trzech kwartałów czasu, jakie w drugiej wojnie światowej dała im Polska. Są też znacznie stosunkowo słabsze, jeśli idzie o ich własną siłę.

Można by zrobić takie porównanie (choć pamiętać trzeba, że wszelkie porównania historyczne są niedokładne a bywają i zwodnicze), że Francja znajduje się w takim stanie zagrożenia obecnie jak Belgia i Holandia w r. 1939, a Brytania w takim stanie zagrożenia jak Francja przed jedenastu laty. Ameryka, jak wówczas Wielka Brytania, prowadzi politycznie, obiecuje wziąć na siebie ciężar walki ochotniczej i wysłać korpus ekspedycyjny oraz dać pomoc w sprzęcie i finansach, panuje ona także nad morzami i także łodzie podwodne stanowią główne zagrożenie tego panowania. Sowiety znajdują się w nieco podobnym położeniu jak Hiter po zwycięstwie nad Polską: mają względnie bezpieczny wschód, swobodę manewru, poruszają się po liniach wewnętrznych. Można by nawet zaryzykować pewną analogię między kampanią norweską a kampanią koreańską. Taką analogię zdaje się mieć na uwadze część wyższych dowódców amerykańskich, którzy liczą się z tym, że, zanim skończy się kampania na półwyspie (koreańskim), zacznie się większa kampania gdzieś bliżej.

Trzeba przyznać, że wahań jest mniej niż w r. 1939. Francja wcześ-

niej porzuciła myśl o polityce neutralności niż w swoim czasie Belgia. W Anglii głosy defetystyczne, jakim daje wyraz np. „The New Statesman and Nation" lub czasami prasa Beaverbrooka, są nieporównanie słabsze niż był we Francji w przededniu drugiej wojny światowej krzyk „Mourir pour Dantzig?".

Uchodźcy polscy, których losy życiowe w najbliższym okresie związane są z losami Brytanii, doskonale rozumieją, że nie może tu być entuzjazmu dla nowej wojny w Europie. Tym bardziej docenić mogą spokojną determinację, z jaką i rząd i ogromna większość opinii wchodzi w okres nowych wyrzeczeń i niebezpieczeństw. Prasa przygotowuje już społeczeństwo do możliwości ograniczeń produkcji na potrzeby cywilne, do nowych świadczeń finansowych a nawet ograniczeń konsumpcji. I tu niewątpliwie wystrzegać się będą przekroczenia owego „point of no retreat", tym staranniej, że margines możliwości gospodarczych Wielkiej Brytanii jest, w porównaniu z możliwościami amerykańskimi, minimalny.

Częściowa mobilizacja świata zachodniego nie oznacza jeszcze konieczności wojny, oznacza ona jednak, że niemożliwy jest, po takim wkładzie, jakiś nowy „appeasement", nawet jakiś prestiżowy sukces, że pokój może być utrzymany już tylko za cenę rzeczywistego, poważnego i zasadniczego ustępstwa ze strony Sowietów. Na razie na takie ustępstwo się nie zanosi.

A swoją drogą, jak inaczej wyglądałyby szanse świata zachodniego, gdyby w środkowej Europie istniała niepodległa Polska i gdyby wojska sowieckie stały nie na Łabie ale na Dźwinie.

NA DWÓCH KRAŃCACH

Wojna na Korei znacznie zaktualizowała potrzebę jakiegoś załatwienia sprawy japońskiej. Nie ma tymczasem mowy o wysyłaniu wojsk japońskich do Korei czy Chin, gdzie Japończycy są znienawidzonymi najeźdźcami, ale Amerykanom żal, że muszą trzymać wojska okupacyjne w Japonii. Bardzo otwarcie pisze o tym Walter Lippmann w „New York Herald Tribune":

„Pełne i trwałe rozbrojenie Japonii było błędem, który trzeba będzie naprawić w porozumieniu z naszymi przyjaciółmi z nad Pacyfiku. Stany Zjednoczone nie mogą sobie pozwolić na bezterminową ochronę rozbrojonej Japonii... Gdyby Japonię uzbroić w stopniu umożliwiającym jej zgniecenie jakichś rozruchów i obronę wybrzeży, nie powstałoby stąd dla nikogo żadne niebezpieczeństwo".

Jakby te sugestie ocenili Japończycy, nie wiemy. Wiemy natomiast jak Niemcy patrzą na projekty częściowego uzbrojenia. „Frankfurter Allgemeine Zeitung" pisze:

„Lord Vansittart wysunął groteskowy projekt wyposażenia pewnej ilości Niemców w lekką broń, by umożliwić im walkę w charakterze partyzantów. Niemcom danoby w ten sposób możność przyczynienia się do własnej obrony bez narażenia Zachodu na niebezpieczeństwo. Lord Vansittart nigdy nie prowadził walki partyzanckiej ani nie walczył przeciwko partyzantom. Wojna partyzancka, prowadzona w dodatku przeciw mocarstwu, opartemu na systemie okrucieństwa, musi automatycznie doprowadzić do represji przeciw ludności, choćby genewska konwencja tego zabraniała. Bohaterstwo jednostek i olbrzymie cierpienia ludności nie pozostawałyby w żadnym stosunku do realnych efektów".

Niemcy wiedzą o czym tu mówią. Wprawdzie i oni, jak lord Vansittart, nie prowadzili partyzantki, ale dobrze wiedzą jak się ją tłumi w oparciu o „system okrucieństwa".

O rzeczywistym stosunku Niemców do ewentualności nowej wojny mówi korespondecja przychylnego im londyńskiego „Observera". Okazuje się z niej, że w Dolnej Saksonii ludzie powypisywali się z partii demokratycznych, że w pismach komunistycznych wielokrotnie wzrosła ilość ogłoszeń firm handlowych, a w jednej miejscowości w górach Harzu na widok oficera sowieckiego powstała panika, zamknięto pocztę, sklepiki i tłum zaczął samorzutną ewakuację.

KOŚCIÓŁ POD SZANTAŻEM

Podpisanie układu pomiędzy episkopatem polskim a reżimem komunistycznym w kwietniu odsunęło na jakiś czas wiszące nad Kościołem w Polsce widmo pełnego prześladowania w postaci wywiezienia opornych członków hierarchii, ustanowienia państwowej „żywej cerkwi" itp. Nie usunęło ono prześladowania w tych, nieco zawoalowanych, formach, w jakich odbywa się ono od paru lat. Episkopat uzyskał uznanie swego prawa do odrębności doktrynalnej za cenę zejścia w pewnych sprawach na płaszczyznę polityczną w kierunku pożądanym przez komunistów. Ten fakt zejścia na grunt polityczny komuniści postanowili eksploatować.

Pierwszym ich poważniejszym krokiem było zmuszenie episkopatu do podpisania tzw. sztokholmskiego apelu pokojowego. Sami komuniści przyznają, że około dwieście tysięcy ludzi odmówiło wręcz w Polsce podpisania tego apelu. Biskupi i znaczna część księży nie podpisali. Po obstrzale propagandowym i groźbach sekretarz episkopatu, bp Choromański, wydał komunikat ogólnikowy, że Kościół popiera akcje zmierzające do utrzymania pokoju. Komuniści uznali to za niewystarczające i wkrótce ukazał się drugi komunikat bpa Choromańskiego wymieniający z nazwy tzw. apel sztokholmski i stwierdzający, że biskupi go popierają. Za czym ex post nastąpiło podpisanie apelu przez biskupów. Wówczas komuniści zabrali się do tych księży, którzy uprzednio odmówili podpisania apelu. Na pierwszy ogień poszli katecheci. Gdzie katecheta nie podpisał apelu, tam zwoływano zebrania rodzicielskie i dawano im do uchwalenia rezolucje domagające się od władz szkolnych usunięcia danego katechety.

Równocześnie przyszła nowa fala prześladowań zakonów, zwłaszcza tych, które prowadzą szkoły. Pod najniedorzeczniejszymi zarzutami dokonano aresztowań i zamknięcia klasztorów w wielu miastach. Zaczęły się także procesy przeciwko tym, którzy w Boże Ciało wywieszali flagi z barwami papieskimi. Wzmożono wydawnictwa antyreligijne w dużych nakładach. Wydano zakaz używania podręczników, w których wykazany jest związek Polski z Kościołem.

Obawiać się należy, że nacisk polityczny na Kościół będzie wzrastał w miarę pogarszania się sytuacji międzynarodowej i może przyjść chwila, w której komuniści zażądają od episkopatu potępienia Zachodu i błogosławieństwa dla agresji komunistycznej.

STEFANOWICZ

Z przykrością i wstydem przyjmowała opinia polska w Wielkiej Brytanii wypadki zbrodni popełnianych przez Polaków. Z radością stwierdzała, że nie Polak dokonał bestialskiego mordu na Sussex Gardens, że nie Polacy zamordowali w zeszłym roku w Niemczech urzędnika brytyjskiego. Pocieszała się tym, że dwaj młodzi bandyci, którzy w ucieczce zabili przechodnia w Bristolu, byli raczej wykolejeńcami niż zawodowymi przestępcami, że ich zbrodnia nie miała w sobie nic wyrafinowanego. Lecz nie przeminęło jeszcze echo egzekucji tych dwóch, a już nadeszła wiadomość, że to Polacy zamordowali samotnego starca, wielkiego przyjaciela Polaków w jego sklepiku wiejskim W tym morderstwie było coś i wyrafinowanego i szczególnie odrażającego.

Jednego z podejrzanych ujęto. Drugi, Stefanowicz, w przebraniu dostaje się do Londynu, odwiedza ambasadę sowiecką, dostaje się bez trudu na statek sowiecki, gdzie od trzech tygodni wykupiono wszystkie miejsca, odpływa w kierunku Sztokholmu. Policja brytyjska alarmuje władze brytyjskie i sowieckie w Niemczech. W Kilonii Rosjanie odmawiają zdjęcia Stefanowicza z pokładu. W drodze rozmawia on płynnie po angielsku, niemiecku i rosyjsku, twierdzi, że do Anglii przybył z Francji. Na Bałtyku statek zmienia kurs, spotyka się z sowieckim holownikiem, dwaj oficerowie sowieccy przeprowadzają rozmowę z kapitanem, Stefanowicz przesiada się na holownik i odpływa. W Sztokholmie na próżno czeka policja szwedzka i angielska.

Zamordowany był przyjacielem Polaków. W pobliżu znajduje się duże środowisko polskie. Morderstwo odbiło się natychmiast na stosunku Anglików do Polaków w szerokiej okolicy.

Przed paru miesiącami ujawniono wykrytą we Włoszech instrukcję dla agentów komunistycznych w sprawie

działania wśród uchodźców zza żelaznej kurtyny w zachodniej Europie. Głównym tematem instrukcji jest szerzenie zatargów i złych stosunków między uchodźcami a gospodarzami. Wśród środków na poczesnym miejscu wymieniono wywoływanie awantur, powodowanie przestępstw, rozlewu krwi.

Wielka Brytania nie ma z Sowietami umowy o ekstradycji przestępców.

B B S

Zespół działający za sceną polityki polskiej w Brytanii od paru już lat, a znany w kołach politycznych pod nazwą PPW (Pragier, Pająk, Wohnout), postanowił się ujawnić, zawiadamiając o powołaniu do życia „Związku Polskich Socjalistów" z zarządem w powyższym składzie. Wśród ujawnionych nie ma prezesa Tomaszewskiego.

Anarchizowanie życia politycznego przez tworzenie coraz to nowych grup jest dalszym ciągiem tej rozkładowej roboty, jaką prowadziła przez kilkanaście lat sanacja w Polsce. BBWR składał się z odpadków różnych partii. Ludzie o skostniałych mózgach nie potrafią wymyślić dziś innej metody od tej, jakiej nauczyli się przed laty. Krzyczą o jedności a pogłębiają rozłam przez stworzenie miniatury słynnego niegdyś BBS p. Moraczewskiego.

ODPOWIEDŹ P. SPAAKA

Pisaliśmy w poprzednim numerze, iż na ostatnim zebraniu Sekcji Środkowej i Wschodniej Europy Ruchu Europejskiego amb. Raczyński poruszył sprawę przemówienia jednego z prezesów Ruchu Europejskiego, p. Spaaka, który w Dortmundzie — jak doniosła prasa francuska i belgijska — miał oświadczyć, że Niemcy w sprawie zwrotu prowincji wschodnich znajdą w Zgromadzeniu Europejskim tylko sprzymierzeńców. W związku z tym amb. Raczyński zwrócił się do p. Spaaka, komunikując mu, że takie oświadczenie przewodniczącego Zgromadzenia Europejskiego wywołało głęboki wstrząs w opinii polskiej oraz prosił o wyjaśnienie i podanie tekstu wygłoszonego przemówienia.

P. Spaak w listownej odpowiedzi oświadczył, że w Dortmundzie mówił tylko o wschodniej części Niemiec, że w sprawie obecnych nowych granic Polski się nie wypowiadał i że stoi na stanowisku, iż nowe granice nie staną się ostateczne, dopóki właściwy traktat pokojowy nie zostanie zatwierdzony.

ODRA I NISA GRANICĄ ZACHODNIĄ

Poniżej zamieszczamy w uzupełnieniu sprawozdania z zebrania pt. „Polska a Niemcy", zwołanego przez Stronnictwo Narodowe, jednogłośnie przyjętą rezolucję:

Zgromadzeni na zebraniu publicznym w dniu 12 lipca 1950 r. w sali Chelsea Town Hall w Londynie Polacy stwierdzają:

1. Pogłębiający się kryzys światowy, którego ostatnim przejawem są działania wojenne w Korei, nakłada na nas odpowiedzialne i trudne zadanie wzmożenia wysiłku dla odbudowania niepodległego państwa polskiego.

2. Głównym wrogiem naszej niepodległości jest w chwili obecnej imperium sowieckie, polityka polska nie może jednak tracić z oczu innych niebezpieczeństw, przede wszystkim zaś niemieckich dążeń rewizjonistycznych.

3. Naród polski jednomyślnie stoi przy swoich prawach do granicy na Odrze i Nisie. Granica ta nie tylko zapewnia równowagę i niezależność Polski od strony Niemiec, ale w latach ostatnich stała się również polsko-niemiecką granicą etnograficzną. Mocarstwa zachodnie przesądziły o jej charakterze, zgadzając się na wysiedlenie reszty ludności niemieckiej spoza Odry i Nisy.

4. Nadzieje żywione przez tych, którzy chcieliby użyć zasobów ludzkich Niemiec, nie liczą się ani z postawą narodu niemieckiego ani z reakcją narodów środkowo-wschodniej Europy. Dywizje niemieckie nie zrównoważą strat, jakie może spowodować zmiana w postawie narodów zza żelaznej kurtyny na wieść o przygotowywanym marszu Niemców na wschód.

5. W obliczu nadchodzących wydarzeń, brzemiennych w doniosłe następstwa dla sprawy naszej niepodległości, zebrani zwracają się do Prezydenta Rzeczypospolitej, aby, pomny na swój główny obowiązek, umożliwił przebudowę naszego systemu politycznego i powstanie, w oparciu o główne ruchy polityczne, rządu zdolnego sprostać zadaniom, które stoją przed nami w chwili obecnej.

SPRAWA POLSKA NIE ŚPI

Jak już donosiliśmy, 13 ub. m. odbyło się zwyczajne zebranie Rady Politycznej.

Obszerne sprawozdanie złożył przewodniczący Wydziału Wykonawczego, prezes J. Zdziechowski, który po przedstawieniu zagadnień wewnętrzno-organizacyjnych i omówieniu działania Rady Politycznej na gruncie międzynarodowym, w drugiej części swego przemówienia powiedział co następuje:

„Utarło się od dłuższego czasu przekonanie dopasowane do sytuacji, w jakiej się z czasem znalazł rząd polski, któremu cofnięto uznanie, że „sprawa polska śpi" i że dopiero, gdy wybuchnie wojna, a w związku z nią nastąpi ponowne nawiązanie stosunków dyplomatycznych z polskim rządem otworzy się przed polską polityką zagraniczną pole do działania.

Tylko liczenie na to, że sprawa polska śpi, mogło doprowadzić do wykorzystania właśnie takiego okresu, by dokonać próby uwolnienia Prezydenta Rzeczypospolitej od zobowiązań powziętych wobec narodu na rzecz stronnictw, a które przystosowywały konstytucję w jej stosowaniu do wymogów demokracji.

Zresztą nic bardziej z sobą pasować nie może, jak właśnie z jednej strony ta teza drzemki politycznej prowadząca do bezwładu, a z drugiej likwidacja polskiej polityki zagranicznej, której byliśmy i jesteśmy świadkami.

Jest to wina nie tyle osób, co beznadziejnej koncepcji politycznej, która jednocześnie lekkomyślnie rozbijała jedność polskiego emigracyjnego społeczeństwa.

Szczyt przewidywania i wizji rządzących wyraził się w kasowaniu instrumentów politycznego działania i kopaniu przepaści między grupką monopolistycznie rządzącą a wielkimi polskimi historycznymi stronnictwami będącymi w kraju trzonem Rady Jedności Narodowej i Polskim Ruchem Wolnościowym „Niepodległość i Demokracja". W miarę zjeżdżania w ten sposób w dół, rosło w ciągu ostatnich dwunastu miesięcy, bo rosnąć musiało, znaczenie sprawy polskiej, a było to łatwe do przewidzenia wobec zapowiadającego się przed rokiem powrotu Niemiec na arenę międzynarodową. Tą drogą doszło się z jednej strony do kompletnej niemocy politycznej i bezradnej fikcji, a z drugiej do przeobrażeń na arenie światowej i powstania okoliczności, których samo wyliczenie ustala rozmiary historycznej winy tych czynników, które stoją na przeszkodzie dla zgodnego podjęcia na terenie międzynarodowym obrony zagrożonych interesów polskich.

Zróbmy krótki przegląd takich wydarzeń:

Niemcy zasiądą za miesiąc w Zgromadzeniu Europejskim. Już otrzymali pozwolenie utworzenia Ministerstwa Spraw Zagranicznych i akredytowania agentów dyplomatycznych. Plan Schumana na losach całej Europy zaważyć może, bo jest czymś więcej niż układem gospodarczym, jest próbą zbudowania osi Hamburg-Marsylia - Dakar i prowadzić musi do pierwszoplanowej roli Niemiec w federowaniu zachodniej Europy. Wszystko wskazuje na to, że próba ta, jeżeli nie zostanie zniweczona przez nadchodzącą burzę wojenną, ma przede wszystkim charakter polityczny i dokonywać się będzie bez udziału Wielkiej Brytanii. Trudno o większy triumf dla polityki niemieckiej, jak udział założycielski w tworzeniu Commonwealthu europejskiego. Adenauer idzie śladami Stresemanna, który ofiarowaniem współpracy usypiał czujność Zachodu, a jest o tyle w lepszej sytuacji, że działa przed traktatem pokoju, a nie po jego wyrokach, że buduje nie na genewskim piasku, ale na kombinacie węgla i stali i że tej imprezie patronuje Waszyngton.

Należy przewidywać, że kraje środkowej i wschodniej Europy, gdyby miały możność politycznego wypowiedzenia się, byłyby projektem francuskim w wysokim stopniu zaniepokojone. Ale wtedy, gdy — jak się zdaje — Wielka Brytania trzymać się będzie na uboczu, współpraca z Francją wolnych państw środkowej i wschodniej Europy przy realizowaniu planu francuskiego w ramach zjednoczonej Europy mogłaby w określonych warunkach być zapewniona.

Przodującej roli Francji te państwa nie mają powodu się obawiać. Ale czy będzie ona przodująca na długo? Czego muszą się one obawiać, to nowego Locarna, dającego Niemcom swobodę ruchów na wschodzie kosztem koncesji poczynionych na zachodzie. Te państwa nie mogą znaleźć się wobec Niemiec wzmocnionych paktem z Francją w zupełnej politycznej izolacji. Dlatego też stanowisko Polski w tej sprawie musi być uzależnione od charakteru zapewnień otrzymanych ze strony Francji, od planu politycznej struktury Europy i gwarancji uzyskanych w przyszłym traktacie pokoju.

Bezpieczeństwo w tej części Europy winno być nie tylko zagwarantowane ze wschodu, ale w stosunku do Polski i Czechosłowacji wzmocnione granicą z Niemcami, uwzględniającą żywotne interesy tych obu państw, i dającą przez to możność środkowej i wschodniej Europie wykonania zadań związanych z zapewnieniem Europie politycznej i gospodarczej równowagi.

Dla Polski ze względu na jej rolę w tej części kontynentu do wszystkich argumentów, przemawiających za przyznaniem jej na stałe granicy na Odrze i Nisie, w razie realizacji planu Schumana przybywa jeszcze jeden. Nad układem między Francją i Niemcami poważnie już zaciążą rozmiary przemysłowego potencjału Niemiec i ich przewaga ludnościowa. Przyznanie Niemcom terytorium między Odrą i Nisą i dawną granicą polsko - niemiecką musiałoby, szczególnie ze względu na bogactwa obszaru Śląska, już w sposób niebezpieczny przeważyć szalę w układzie francusko-niemieckim na korzyść Niemiec, zmniejszając jednocześnie wartość dla równowagi europejskiej, jaką przedstawiają łącznie z Polską państwa środkowej i wschodniej Europy.

Zadanie, które może przypaść Polsce w wypadku ścisłej współpracy z Francją na gruncie zjednoczenia Europy, mogłoby polegać na złagodzeniu tarć wynikających z rozwiązań terytorialnych niekorzystnych dla Niemiec za pomocą układów gospodarczych, w których byłyby zainteresowane Niemcy, Czechosłowacja i państwa naddunajskie i które w ten sposób mogłyby spełniać rolę spoideł w strukturze europejskiego gmachu.

Gdy tak wielkie i skomplikowane zadania wyrastają przed polityką polską i wymagają politycznej działalności teraz właśnie, w okresie przed traktatem pokojowym, trudno nie wyrazić oburzenia, że p. Spaak, prezes Zgromadzenia Europejskiego, pozwolił sobie na oświadczenie w Dortmundzie zapewniające Niemców, że w sprawie restytucji prowincji wschodnich znajdą w Zgromadzeniu Europejskim jedynie sojuszników. Jak by to obecnie p. Spaak nie próbował zatuszować, trudno mieć wątpliwości, że oświadczenie, jakie zrobił, było nadużyciem stanowiska, które zajmuje i zaprzeczeniem haseł, których był dotąd wyrazicielem. A właśnie teraz przy nastawieniu zachodniej Europy w stosunku do Niemiec, którego wyrazem są ramiona najszerzej otwarte, powinniśmy w Strassburgu za miesiąc wysunąć sprawę kooptowania do Zgromadzenia Europejskiego przedstawicieli państw ujarzmionych przez Związek Sowiecki.

Kontakty dyplomatyczne Zachodu z komunistycznymi reżimami w państwach za żelazną kurtyną najwidoczniej zanikają. Otwierają się tym bardziej wskutek tego możliwości szerszej akcji politycznej dla przedstawicieli Polski co najmniej w Sekcji Środkowo-Wschodniej Europy, w Ruchu Europejskim, jak i we współpracy z amerykańskim Komitetem Wolnej Europy. Brak ześrodkowania działalności politycznych ośrodków emigracyjnych krajów podbitych przez Moskwę rzuca się w oczy i szkodliwie daje się odczuć. Tu też jest niejedno do zrobienia.

Walki amerykańskie w Korei prowadzone pod egidą Zjednoczenia Narodów w obronie Południowej Korei przed komunistycznym najazdem wykazują dobitnie światu, do czego doprowadziła polityka Teheranu i Jałty. Trudno nie stwierdzić, że punkt wyjścia dla rozwoju wypadków, w których krew Amerykanów przelewana jest w obronie wolności Korei, tkwił w pomocy udzielonej przez Wielką Brytanię i Stany Zjednoczone Moskwie dla obdarzenia Polski rządem komunistycznym. Może teraz Zachód, widząc tego konsekwencje, zrozumie, że w Jałcie otworzono bramę do Europy i że brama ta leży nie gdzie indziej, jak właśnie na granicy polsko-sowieckiej z 1939 r. Zostało to ułatwione przez prace usłużnych fabrykantów linii Curzona spłodzonej przed 30 laty w politycznych laboratoriach brytyjskich z natchnienia imperializmu rosyjskiego na użytek paru generacji mężów stanu będących nieukami w politycznej geografii. Stalin zebrał w Jałcie w 1945 r. zboże zasiane przez Sazonowa w Londynie przed 1920 r. I jakkolwiek to brzmi paradoksalnie, oddanie w ten sposób pod jarzmo sowieckie stu milionów Europejczyków zmusza obecnie Zachód do ratowania od tego jarzma Koreańczyków, Chińczyków, Indochińczyków i Malajczyków.

W tych warunkach świat się zbliża do likwidacji węzłów traktatowych zadzierżgniętych z Kremlem kosztem Polski i Chin w Jałcie. Układ tam zawarty nie zdoła przeżyć tego cyklu historycznych kompromitacji w miarę jak głosy strzałów i bomb, które się rozległy najpierw nad rzeką Han w Korei, grozić będą przeniesieniem się na Łabę w prawdopodobnym konflikcie między przepołowionymi Niemcami.

Czy mamy czekać dopiero tej chwili, by kres położyć zgubnemu odrętwieniu, w którym tkwią czynniki piastujące władzę? Nie chodzi mi o krytykę osób powołanych do prowadzenia polskiej polityki zagranicznej czy ich dyplomatycznych współpracowników. Skłonny jestem uznać, że mają najlepsze chęci i zapewne nie brak im ani wiedzy ani zdolności. Ale trzeba wyjątkowej krótkowzroczności, by nie widzieć, że wysoki urzędnik nieuznanego przez mocarstwa zachodnie rządu, w stosunku do którego niesporna większość polskich ośrodków politycznych na emigracji zajmuje z różnych tytułów opozycyjne stanowisko, może jedynie pisać i składać memoriały. Ale na tym ani się nie zaczyna, ani się nie kończy polityka zagraniczna takiego narodu jak polski, bez którego głosu i współpracy żaden gmach trwały równowagi w Europie, a przez to i na świecie nie może być zbudowany.

Polska polityka zagraniczna potrzebuje scentralizowanego kierownictwa w rządzie opartym o stronnictwa polityczne. Nie tylko o fachowość w takim kierownictwie chodzi, ale i o zdolność nakreślania linii politycznego działania, dokoła której dadzą się skupić w zgodnym wysiłku przedstawiciele stronnictw politycznych, by swymi wpływami zdobyć wśród demokracji Zachodu poparcie dla postulatów polskich.

Instrumentem działania nieuznanego rządu mogą być tylko wybitne jednostki, reprezentujące coś więcej niż samych siebie, bo opierające się na mandacie szerszym zbiorowego politycznego ciała. Czy przykład Przedstawicielstwa Rady Politycznej w Stanach Zjednoczonych nie wskazuje, że ośrodki złożone z przedstawicieli stronnictw wzbudzają w warunkach działania na emigracji więcej politycznego zaciekawienia i zaufania, niż mogą wywołać czy zdobyć nieakredytowani agenci dyplomatyczni? Czy kierownictwo polityki zagranicznej ma się pozbywać tych możliwości, które się obecnie otwierają dla działania w takiej organizacji, jak np. Sekcja Środkowej i Wschodniej Europy w Ruchu Europejskim lub w pewnych formach współpracy z amerykańskim Komitetem Wolnej Europy. To są metody pomocniczej pracy dyplomatycznej, które winny być zastosowane w obecnych warunkach.

Uparte stanowisko zajęte przez koła, z którymi stronnictwa wchodzące w skład Rady Politycznej prowadziły rokowania, uniemożliwiające doprowadzenie do jedności narodowej, może tylko do pewnego czasu pomniejszać skuteczność wysiłków Rady Politycznej na gruncie polityki zagranicznej. Jesteśmy na najlepszej drodze do stopniowego utrwalania w opinii oficjalnych kół politycznych wielkich mocarstw, jak row-

nież w ich parlamentarnych ośrodkach i zawodowych organizacjach, przekonania, że reprezentujemy wolną myśl bezspornej większości Polaków.

Ale brak tej jedności nie tylko szkodzi tymczasem sprawie polskiej na terenie polityki zagranicznej, ułatwiając mocarstwom w związku z postulatami, które będziemy wysuwać na gruncie międzynarodowym, stanowisko obojętnego wyczekiwania lub nieprzychylnego ustosunkowania się.

Przeciągający się spór w sprawie przystosowania konstytucji 1935 r. w praktyce jej wykonywania do norm demokratycznych pociąga za sobą i inne skutki, nad którymi warto się zastanowić:

a) Podkreśla antydemokratyczne cechy konstytucji z 1935 r.;

b) Pozwala komitetowi p. Mikołajczyka urastać, wbrew rzeczywistości, do roli jakiejś trzeciej siły, przeciwstawiającej się obu kierunkom;

c) Powoduje rozłam w społeczeństwie emigracyjnym groźny dla spoistości organizacji społecznych i ośrodków wojskowych;

d) Paraliżuje wysiłki dla zdobycia niezbędnych środków w celu obrony interesów Polski na emigracji;

e) Prowadzi do obniżania wszelkich autorytetów związanych ze sprawowaniem państwowych funkcji;

f) Wywołuje przygnębiające wrażenie wśród rzesz emigracyjnych i starej emigracji na Zachodzie, a uczucia zwątpienia, zawodu i pesymizmu w kraju.

Rozwiązanie tego sporu wymaga zrozumienia, że czynniki reprezentujące polską myśl polityczną, a zgrupowane zarówno w stronnictwach, które w kraju walczyły z totalitarnymi rządami, jak i w demokratycznych ugrupowaniach politycznych w ciągu wojny, nie zgodzą się nigdy na oparcie władzy państwowej na konstytucji z 1935 r., bez przystosowania jej wykonywania do demokratycznej treści ustrojowej. Muszą one przy tym uzyskać maksimum gwarancji, iż do czasu powrotu do kraju i zmiany konstytucji drogą powołania ciał ustawodawczych, Prezydent Rzeczypospolitej i jego ewentualny następca będą pilnie przestrzegali tych norm demokratycznego ustroju.

Wobec charakteru konstytucji z 1935 r., która była w kraju instrumentem faktycznej dyktatury, wobec konieczności stosowania jej poza granicami państwa w warunkach, których ustawodawcy przewidzieć nie mogli, a też wobec najbardziej demokratycznych ustrojów w tych państwach, których stanowisko decydować będzie o losach Polski, wykonywanie konstytucji z 1935 r. winno być przystosowane do zgodnie ustalonych demokratycznych norm o charakterze zwyczaju podyktowanego wyjątkowymi okolicznościami wojennymi i przebywaniem władz państwowych na emigracji. Te normy stanowić powinny u z u p e ł n i a j ą c ą p o d s t a w ę dla sprawowania władzy państwowej do chwili uchwalenia w wolnym kraju nowej konstytucji. Zastosowanie się Prezydenta Rzeczypospolitej do takich norm nie jest w niczym sprzeczne z literą konstytucji.

Nie znaczy to wcale, by władza Prezydenta miała być ograniczona do roli instancji rejestrującej jedynie wolę przedstawicieli stronnictw politycznych. Powinien on być najwyższym arbitrem, mogącym przez swój wpływ i interwencję łagodzić napięcie przeciwieństw politycznych, zażegnywać i rozwiązywać tą drogą kryzysy, jakie mogą powstać. Natomiast decyzje Prezydenta z tym związane powinny dla nabrania mocy prawnej znaleźć poparcie w większości ciała politycznego typu Rady Jedności w kraju, reprezentującego w sposób przystosowany do okoliczności myśl polityczną narodu na emigracji, kontrolującego działania rządu i powołanego do życia w warunkach niezależności od czynnika reprezentującego zwierzchnią władzę państwową.

Dla rozwiązania tych zagadnień należy w imię polskiej racji stanu ustalić zasady przewodnie w kierowaniu akcją mającą przywrócić całość, wolność i niepodległość Rzeczypospolitej. Przy ich ustalaniu pamiętajmy, że suwerenność narodu polskiego przejawia się nie tylko w tym, co dyktują litery konstytucji z 1935 r. Tkwi ona również w drogiej sercu polskiemu spuściźnie, którą obok walecznych czynów polskiego żołnierza w tej wojnie zostawiła działalność Rady Jedności Narodowej w podziemnym państwie, jej program, a także Deklaracja Krajowej Reprezentacji Politycznej z dnia 15. 8. 1943 r.

Wypadki polityczne następować mogą dziś z taką szybkością, że nie ma już obecnie czasu na długie, bez końca ciągnące się rokowania. Stoimy na gruncie dołożenia wysiłku dla utrzymania ciągłości prawno - konstytucyjnej władzy państwowej. Ale z tego nie wynika wcale, byśmy mogli i chcieli pogodzić się z sytuacją, w której w parze z tą ciągłością nie można stworzyć rządu na demokratycznych zasadach opartego, zdolnego do kierowania polską polityką zagraniczną i odbudować tą drogą tak ważną podstawę dla politycznego działania na emigracji, jaką stwarza jedność narodowa.

Ciągłości prawno - konstytucyjnej władzy państwowej grozi niebezpieczeństwo rozbratu z życiem i rzeczywistością, jeżeli ci, którzy stoją na jej straży, nie dostrzegą w porę tego, co kłóci się wyraźnie z poglądami narodu. W stosunku do konstytucji z 1935 r. czujność w tym względzie jest tym bardziej nakazana, że ustawa ta nie była nigdy wyrazem woli większości Polaków i wbrew tej woli została wprowadzona w życie. Żadne inne 15 lat historii polskiej nie mogły wprowadzić w umysłach Polaków takich zmian, jak okres tych 15 lat ubiegłych. Dojrzałość polityczna mas stała się wielka i trudno mieć wątpliwości co do kierunku, w jakim ta ewolucja podążała. Program Rady Jedności Narodowej w kraju powinien być miarodajną wskazówką. Wolność i demokracja a nie dyktatura wydawać się muszą dla uciemiężonego i umęczonego kraju celem przyświecającym wszystkim.

W tych warunkach upieranie się na emigracji przy systemie rządów jednostki, nieudolnie maskowanych, może, trzeba to wyraźnie powiedzieć, narazić ciągłość prawno-konstytucyjną na kryzys. Chcemy wierzyć, że w obliczu narastającego na świecie wojennego konfliktu wszystko będzie zrobione, aby taki kryzys nie nastąpił.

W oczekiwaniu zgody, ale też w poczuciu odpowiedzialności wobec kraju, Rada Polityczna nie będzie bierna i bezczynna, lecz będzie niezachwianie wykonywała swój program udziału jej przedstawicieli w wszystkich pracach mających na celu obronę interesów Polski".

GRANICA ZACHODNIA

W dalszym ciągu obrad Rada Polityczna uchwaliła następującą rezolucję w sprawie granicy na Odrze i Nisie:

„Rada Polityczna stwierdza ostateczny i niezmienny charakter granicy polsko-niemieckiej w jej przebiegu po linii rzek Odry i Nisy Łużyckiej.

Granica ta jest wynikiem pasma wydarzeń w stosunkach polsko-niemieckich, rozpoczętego we wrześniu 1939 r., kiedy to Niemcy najechały Polskę i zaprowadziły na naszych ziemiach rządy ucisku i zniszczenia, niezrανego w dziejach cywilizowanej ludzkości. Prawo Polski do obszarów, położonych pomiędzy przedwojenną granicą polsko-niemiecką a granicą obecną, nie wypływa z woli Stalina i Związku Sowieckiego. Prawo to oparte jest na przesłankach historycznych i etnograficznych, jako że ziemie te już w przeszłości stanowiły część państwa polskiego a swój polski charakter ludnościowy zachowały w wielkiej mierze aż po czasy ostatnie. Przede wszystkim jednak prawo Polski do tych ziem oparte jest na sprawiedliwości dziejowej, której wymiar w postaci ustanowienia granicy polsko-niemieckiej na rzekach Odrze i Nisie Łużyckiej jest dla Polski częściowym bodaj zadośćuczynieniem za cierpienia, zniszczenia i mordy masowe, zadawane narodowi polskiemu przez Niemcy.

Sankcję międzynarodową granica ta uzyskała w momencie, w którym wielkie mocarstwa Zachodu wyraziły swą zgodę na wysiedlenie pozostałej tam jeszcze części ludności niemieckiej z byłych terytoriów Rzeszy, położonych pomiędzy przedwojenną granicą polsko-niemiecką a rzekami Odrą i Nisą Łużycką, oraz na powrót ludności polskiej na te ziemie. Nie można sobie bowiem wyobrazić, by mocarstwa te pobierając swą decyzję zamierzały los wielu milionów Polaków czynić zmienną igraszką chwili i by planowały wyrzucenie ich w przyszłości z siedzib, które swą pracą

odbudują z popiołów i zniszczeń wojennych. Tym samym granica ta od pierwszej chwili jej wytyczenia nosiła, nadal nosi i nosić będze charakter trwały i niezmienny.

W stanowisku tym naród polski jest i pozostanie zjednoczony i solidarny".

DLA GRUPOWYCH CELÓW

W związku ze sprawą wytoczoną przeciwko członkowi Rady Politycznej, gen. Tadeuszowi Komorowskiemu przez Koło Generałów Rada powzięła jednomyślnie następującą uchwałę:

„Wobec orzeczenia sądu koleżeńskiego Koła Generałów i Pułkowników b. dowódców W. J. z dnia 21. 5. 1950 r. w związku z podpisaniem przez generała T. Bór Komorowskiego memoriału w sprawach polskich do konferencji ambasadorów amerykańskich

Rada Polityczna wyraża gen. T. Bór Komorowskiemu uznanie, stwierdząc, że jego pełna lojalność wobec Państwa, nieposzlakowana ideowość i wzorowe poczucie obowiązków żołnierza i obywatela stoją ponad próbami doraźnych ocen.

W tym orzeczeniu sądu koleżeńskiego Koła Generałów Rada Polityczna widzi przejaw nieprzebierającej w środkach metody zwalczania wolności poglądów i działalności obywatelskiej oraz próbę nadużywania tradycji i tytułów wojskowych dla grupowych celów i rozgrywek politycznych".

WOJCIECH WASIUTYŃSKI

BŁĘDNE I SZKODLIWE POGLĄDY

W POLSKIM środowisku w Wielkiej Brytanii od dłuższego czasu nabrzmiewa sprawa nieprzyjemna i, chociaż teoretyczna, ale żywo odczuwana przez szersze niżby można sądzić w pierwszej chwili koła, a mianowicie sprawa poglądów niektórych katolików polskich, wypowiadających się na łamach tygodnika „Życie".

Mimo, iż od szeregu miesięcy wielu czytelników i przyjaciół naszego pisma zwracało się do redakcji, przedkładając potrzebę zareagowania na te poglądy, świadomie wstrzymywaliśmy się z zabraniem głosu. „Życie" jest jedynym pismem na emigracji poświęconym zagadnieniom katolickiego życia intelektualnego. Między katolikami istnieć mogą i muszą różnice w poglądach na sprawy polityczne, czasem nawet różnice istotne. Jeżeli istnieje jedno pismo tego typu, co „Życie", to może ono udzielić czasem swych łamów poglądom nawet ekscentrycznym, nawet wywołującym ostry sprzeciw znacznej większości katolików polskich. Sądziliśmy, że redakcja tego pisma, rozumiejąc swoją odpowiedzialną i niejako monopoliczną rolę, albo postara się o zrównoważenie kierunku pisma przez udzielenie co najmniej równego głosu poglądom większości katolików polskich, albo usunie kwestie sporne z łamów tygodnika. Niestety, po upływie dłuższego czasu musimy stwierdzić, że poglądy, o których będziemy mówić niżej, powracają w tym wydawnictwie stale, że zdają się tworzyć jego nutę przewodnią i nie znajdują ze strony redakcji żadnej przeciwwagi. Wywołuje to w środowisku polskim irytację, powstanie atmosfery pogłosek i podejrzeń, gesty zniecierpliwienia w postaci odmawiania prenumeraty tygodnika katolickiego, wreszcie nawet rozsyłanie memoriałów przeciwko kierunkowi pisma.

W tych warunkach, jak się nam zdaje, wyniknie znacznie mniej szkody z poważnego omówienia całej sprawy niż z dalszego jej przemilczania. Nie mamy wątpliwości, że współpracownicy tej prasy są ludźmi dobrej woli, głębokiej wiary i szczerego patriotyzmu. Toteż nie zamierzamy prowadzić polemiki osobistej, lecz nie możemy, w poczuciu odpowiedzialności publicystycznej, pozostawić bez odpowiedzi poglądów, które uważamy za błędne i szkodliwe.

Dwie półprawdy

Społeczność katolicka w świecie stanowi tak silną jedność pod względem zasadniczego poglądu na świat a zarazem składa się z tak różnych typów umysłowości, że nowe wydarzenia i położenia wywołują niemal tę samą gamę reakcji wśród katolików w różnych częściach globu. Nowe sformułowanie, rzucone przez jednego pisarza czy kaznodzieję, trafia na podatny grunt w najrozmaitszych miejscach, wywołuje stokrotne echo i często nie wiadomo, czy podobne poglądy w tym samym czasie wyrosły samorzutnie w różnych miejscach, czy też zostały podchwycone przez czekających na formułę. Toteż do sprawy poglądów wśród katolików nie należy przykładać pochopnie miary organizacyjnej, dopatrywać się ekspozytury, czy porozumienia tam, gdzie jest tylko wpływ umysłowy. Jest to zastrzeżenie ważne i potrzebne dla czystości naszego myślenia i dyskusji.

W chwili obecnej świat cały przechodzi podskórny dreszcz trwogi. Czujemy, że zbliża się rozgrywka o wymiarach prawie nieobliczalnych, starcie dwóch potęg, które przesądzi o ustaleniu się typu cywilizacji w świecie na długo, może na bardzo długo. Przeciw sobie stoją dwie potęgi: komunizm władający większą częścią Europy i Azji, kierowany przez rosyjskich bolszewików i świat zachodni, panujący na morzach a kierowany przez Amerykanów. W przededniu takiego starcia każdy człowiek wewnętrznie opowiada się po jednej stronie, bo obojętny na wynik walki, która przesądzi o jego własnych losach, pozostać nie może. Opowiadając się po jednej stronie, przymyka się niemal automatycznie oczy na jej braki i wady a jednocześnie przymyka się oczy na wszelkie zalety tego, kogo wewnętrznie uznało się za wroga. Innymi słowy naturalną tendencją człowieka walczącego jest identyfikowanie swojej sprawy ze sprawą sprzymierzeńców. Gotując się w duchu do walki z bezbożnym komunizmem, lub już będąc w tej walce, wielu katolików, może większość, identyfikuje sprawę chrześcijaństwa ze sprawą Ameryki.

Takie identyfikowanie wywołuje zrozumiałą reakcję u najgoręcej nieraz wierzących i najgłębiej myślących katolików. Kościół ma też swoje „czarno-białe" myślenie, rozróżnia bezwzględnie zło od dobra, ale granice między czarnym a białym widzi wewnątrz dusz ludzkich, granica ta nie biegnie w poprzek kontynentów lecz w poprzek dusz. Sprawa Chrystusowa i sprawa amerykańska nie są jednym. Nawet sprawa Kremla i sprawa Piekła nie pokrywają się. Prowadzony przez Amerykę świat zachodni nie jest Kościołem. Przeciwnie, jest to świat pełen grubego materializmu, nie dialektycznego, ale praktycznego, przesiąknięty u swoich szczytów wpływami wolnomularstwa i sekciarstwa. Pod wpływem podobnych refleksji niejeden katolik woła: „To nie jest nasza walka, to nie jest krucjata, to jest walka dwóch imperializmów obcych nam". Stąd tendencja, dla przeciwwagi owemu identyfikowaniu, do wykazywania mniej czarnych stron komunizmu a przede wszystkim czarniejszych stron świata zachodniego.

Tendencja ta najwyraźniejsza jest wśród części katolików francuskich, bo Francuzi najbardziej by pragnęli uniknąć trzeciej wojny światowej. Tendencja ta nie może nie pojawiać się w Polsce, gdzie spojrzenie w oczy rzeczywistości wymaga niezwykłego heroizmu. Tej tendencji przejawem są też niektóre artykuły „Życia", że wymienimy tytułem przykładu artykuły „Na jakich podstawach?" z 7 maja rb., „Wschód-Zachód" z 14 maja, „Nieobecność i powrót" z 30 października r. ub. i szereg wzmianek w każdym niemal numerze krytykujących Amerykę.

Stwierdzenie, że sprawa Chrystusa i sprawa zwycięstwa wojskowego Zachodu to dwie różne rzeczy, jest oczywiście słuszne. Słuszne jest także, że świat zachodni ma swoje ciemne strony, że kapitalizm amerykański nie jest zgodny z duchem chrześcijaństwa, że w komunizmie jest

jakieś echo chrześcijańskiego dążenia do sprawiedliwości i wyzwolenia od żądzy bogacenia się. Ale jeżeli się z tych przesłanek wyprowadza lub nawet tylko sugeruje wniosek, że w walce między komunizmem a światem zachodnim katolik ma nie stanąć po żadnej ze stron, to wniosek ten jest błędny, fałszywy i szkodliwy. Bo choć żadna z tych obu stron nie jest katolicka, ale ich stosunek do katolicyzmu jest niewspółmierny.

Wyobraźmy sobie, że chrześcijanie z początków czwartego wieku powiedzieliby: „I Konstantyn i jego przeciwnicy nie są chrześcijanami; wprawdzie Konstantyn ogłasza tolerancję, a tamci prześladowanie, ale Konstantyn też nie jest chrześcijaninem a w dodatku z chrześcijan dostęp do niego mają heretyccy arianie; nam wszystko jedno kto wygra, my jesteśmy ponad tym, by zaś ustrzec naszych braci od identyfikowania naszej sprawy ze sprawą Konstantyna, będziemy przypominać wszystkie jego zbrodnie i jego słabość do heretyków".

I tu przechodzimy do drugiego oblicza ten tendencji. Wyraża się ono w tezie głoszonej jako prawda podstawowa przez tzw. katolików reżimowych w Polsce, a odnajdującej się i w „Życiu", że Kościół nie jest związany z jakimś jednym ustrojem, nawet z jakąś jedną cywilizacją, że może żyć i rozwijać się w każdym ustroju. Podłożem tej tezy jest znowu reakcja na owe identyfikowanie sprawy Kościoła ze sprawą Zachodu. Dołącza się do tego i wątpliwość w siłę Zachodu. Zachód nie musi wygrać, a jeśli przegra katolicy mogą wpaść w rozpacz. Nam rozpaczać nie wolno. Kościół jest niezwyciężony i będzie istniał nawet w świecie komunistycznym. Musimy być gotowi i na tę drugą ewentualność.

Myśl ta sformułowana została najdawniej we Francji a w swoim czasie służyło jej, w latach trzydziestych, nawet specjalne wydawnictwo „La Terre Neuve", mające na okładce sierp, młot i krzyż. Francja jest krajem, gdzie niegdyś Kościół był bardzo silnie związany z monarchią. Rewolucja francuska była skierowana zarówno przeciw Ołtarzowi jak i Tronowi. Katolicy francuscy nie chcieli się pogodzić z republiką, wywodzącą się z rewolucji nawet pośrednio, nawet z trzecią Republiką. Wywołało to reakcję w szeregach katolickich, prąd uznający republikę i demokrację, pragnący ją uchrześcijanić. Za tym prądem opowiedziała się wreszcie i Stolica Apostolska. Przeżycie to pozostało w świadomości katolików francuskich w postaci doświadczenia, że nowe formy ustrojowe nawet tworzone przez wrogów Kościoła, mogą być uchrześcijanione, że nie wolno wiązać sprawy Kościoła ze sprawą istniejącego ustroju. Analogicznie jak Kościół uznał ustrój demokratyczny, rozumują oni, może uznać i komunistyczny.

Podobnym poglądom, czy nadziejom zdaje się dawać wyraz w „Życiu" p. J. Tokarski, gdy twierdzi, że „komunizm, jako system ekonomiczny, jeśli pominie się jego filozofię, nie jest w takiej mierze zaprzeczeniem chrześcijaństwa, nie stoi tak w sprzeczności z samą zasadą chrześcijaństwa jak kapitalizm zachodni" (28 sierpnia 1949) oraz, że „komunizm jest bowiem jakby wielką społeczną sektą chrześcijańską, gdy kapitalizm jest wdarciem się pogaństwa w dziedziny chrześcijańskie" (25 września 1949). Wyraźnie stwierdza to tenże autor w artykule „Wielka rocznica" z 14 maja rb. „Nie martwią nas nadmiernie losy tych form życia, które nawet katolicy nazywają „kulturą chrześcijańską", bo wiemy, że kultury i cywilizacje, jako dzieła ludzkie, podlegają i muszą podlegać zmianom".

Podobne myśli zdają się znajdować echo w kazaniu wygłoszonym przez ks. T. Kirschkego do pielgrzymki akademickiej w Walsingham, a opublikowanym w numerze „Życia" z 18 czerwca rb. „Żyjemy w czasach nieprawdopodobnie wielkich — mówił ks. Kirschke. Powstaje nowa cywilizacja; — rodzi się nowy świat. W naszych oczach odbywa się niepowstrzymany, konieczny, od nas niezależny proces, decydujący o następnym tysiącleciu. O ducha tego rodzącego się nowego świata chodzi... Po rodzącą się nową cywilizację wyciągają ręce ci, którzy ze swej myśli, ze swego systemu, ze swego działania wykreślili Boga, chcąc nadać nowemu światu swoje piętno. Jeżeli nowa cywilizacja nie ma być zgubą ludzkości, musi zostać ochrzczona i nierozerwalnie związana z Chrystusem."

Jest rzeczą oczywiście słuszną, że Kościół nie jest związany z żadnym określonym ustrojem ani nawet z żadną formą cywilizacyjną. Jest prawdą, że Kościół nie przestałby istnieć nawet gdyby zniknęły wszystkie miasta świata zachodniego i wszystkie języki europejskie. Kościół żył w ustroju „kapitalizmu" późnego cesarstwa rzymskiego i w ustroju plemiennej anarchii z czasów wędrówek ludów i w ustroju feudalnym i w ustroju absolutyzmu i w ustroju parlamentarnym. Ale był i ustrój, w którym Kościół żył tylko za cenę codziennych niemal krwawych ofiar, za cenę kolejnego niszczenia w różnych prowincjach. Był to ustrój pogańskiego Rzymu. Państwo starożytne było totalne, to znaczy państwo było źródłem moralności i nie było dziedziny życia od państwa niezależnej. Państwo decydowało, w co człowiek ma wierzyć i w jakich kultach brać udział. Władza państwowa była władzą religijną. W dziejach ludzkości nie to było ważne, że Konstantyn się ochrzcił, ale to, że przedtem, w edykcie mediolańskim zrzekł się władzy duchowej nad swymi poddanymi. Od edyktu mediolańskiego Rzym przestał być państwem totalnym a jego obywatele zyskali prawo nie tylko wierzyć inaczej niż cesarz ale sądzić cesarza z punktu widzenia moralnego. Odtąd zaczęła się nowa cywilizacja. Do tej cywilizacji należały wszystkie ustroje europejskie, w których działał Kościół i do niej, mimo wszystko, należy Ameryka a w żadnym razie nie należy Rosja Sowiecka.

Kościół może istnieć w świecie komunistycznym, ale tak jak istniał w pogańskim Rzymie, to znaczy w prześladowaniu, z tym, że prześladowanie to jest dużo trudniejsze do przetrwania niż jakakolwiek odmiana prześladowań rzymskich. Sowiety to nie tylko formy ustrojowe, to religia państwowa, bardziej bezwzględna i konsekwentna niż jakakolwiek religia państwowa starożytności. Podstawą wiary komunistycznej jest, że człowiek nie ma duszy lecz tylko system refleksów warunkowych i zademonstrowaniu tej wiary służą takie procesy jak kardynała Mindszentyego. Oczywiście Kościół istnieje nawet w Rosji, ale obowiązkiem katolika jest walczyć do ostatniego tchu, żeby Kościół tak nie musiał istnieć, żeby mógł żyć tak jak w Stanach Zjednoczonych.

Katolicy reżimowi w Polsce, którzy powstali jako grupa w oparciu o założenie, że panowanie komunizmu nad Polską jest trwałe, głoszą, a może i wierzą, że Sowiety zwyciężą w światowym sporze, że, jak to ujął Paweł Jasienica: „Świat zmienia skórę, a kolor tej nowej skóry jest czerwony". To ich przekonanie wypływa z rozczarowania i z instynktu samozachowawczego jednostek, a formułuje się nie bez wpływu propagandy ko-

munistycznej. Jest źle, jeżeli emigracja, zamiast zarażać swoją wiarą w zwycięstwo Zachodu kraj, ulega, choćby w małym odsetku, wierze komunistów za pośrednictwem tzw. katolików reżimowych i ich prasy. Katolicy reżimowi są bowiem grupą manewrową komunistów. Nie chcemy przez to bynajmniej powiedzieć, że są agentami komunistycznymi, udającymi katolików. To wywiady wojskowe posługują się agentami, wielkie ruchy polityczne posługują się często grupami manewrowymi, nieraz sobie całkiem obcymi, lecz takimi, które można postawić w odpowiednią sytuację, zmusić do takiego a nie innego postępowania, do odegrania roli przewidzianej przez silniejszego a nie przez nich samych.

Dwa oportunizmy

Sprawa tendencji „czerwonych" w pewnych kołach katolickich nie ogranicza się jednak do poglądów wywołanych oceną sytuacji międzynarodowej. Ma ona szersze i znacznie starsze podłoże psychologiczne. Chrześcijaństwo, pamiętamy o tym wszyscy, było wielkim przewrotem w stosunkach ludzkich, było wieki trwającą rewolucją, ba, j e s t rewolucją, która wciąż trwa z mniejszym lub większym nasileniem, raz tłumiona falami reakcji pogańskich, raz ruszająca do natarcia. Za naszego życia Kościół zdobył miliony wiernych w szeregu krajów, ogarnął swoją myślą nowe dziedziny wiedzy. Ale zanim reakcja antychrześcijańska pojawiła się w swej najostrzejszej, bolszewickiej formie, zalała ona w formach łagodniejszych dużą część świata dawniej zdobytego dla chrześcijaństwa, zmusiła Kościół do roli przede wszystkim obronnej, do podtrzymywania atakowanych tradycyjnych obyczajów i instytucji. W tym, przez większą część wieku XVIII i prawie cały XIX trwającym okresie, przeciętni katolicy zapomnieli, że chrześcijaństwo jest stałą rewolucją, łudzili się, że jest systemem utrwalonym, wyszłym z rewolucji ale broniącym ustalonego przez siebie porządku. Tak bywa z wszystkimi ustrojami, ale chrześcijaństwo nie jest ustrojem, jest wieczną wojną ze złem. Ta statyczna i konserwatywna postawa większości wiernych w ubiegłych pokoleniach wywoływała bunt w najgorętszych katolikach. Oskarżali oni hierarchię kościelną i większość świeckich współwyznawców o związanie się z ustrojem panującym, o przywiązanie do dóbr ziemskich, o godzenie się ze złem istniejącego ustroju. W kraju szczególnie konserwatywnych obyczajów i najbardziej mieszczańskiego typu życia, jakim jest Francja, oskarżenia te były najostrzejsze i do dziś brzmią tam one głośno.

W każdym człowieku tkwią zarodki oportunizmu, a im kto ma pewniejsze miejsce w społeczeństwie, tym łatwiej ulega oportunizmowi. Było zawsze w dziejach Kościoła zagadnienie oportunizmu i dlatego niemałą w jego historii rolę odgrywali święci rewolucjoniści, wywołujący zrazu oburzenie a później cześć. Kult rewolucjonistów, przejęty przez ruchy polityczne, ma jedno z głównych źródeł w tradycji chrześcijańskiej. Można by powiedzieć, że chrześcijanie mają wrodzoną słabość do rewolucjonistów, obcą ludziom z narodów wychowanych pod wpływem innych wiar.

Jeszcze za pontyfikatu Piusa X głoszenie haseł antykonserwatywnych w Kościele wymagało odwagi. Ale dziś? Czy dziś, w żyjącej w potwornym strachu przed najazdem wojsk sowieckich Europie, gdzie każdy widzi słabe strony kapitalizmu, głoszenie potępienia ustroju kapitalistycznego jest rewolucyjną odwagą? Czy jest nowatorstwem, odkryciem? Czy grozi gilotyną lub galerami? Nie, to głoszenie krytyki ustroju kolektywistycznego za żelazną kurtyną grozi kulą w podstawę czaszki, torturą lub Kołymą. Ze czcią myślmy o każdym katoliku, który tam wygłasza najlżejszą, choćby niesłuszną, krytykę komunizmu. Tych, którzy krytykują świat zachodni po tej stronie żelaznej kurtyny, sądźmy tylko według treści tego co mówią, pozbywszy się wszelkiego sentymentu dla rewolucjonistów jakimi nie są.

Przyzwyczajeni do zauważania oportunizmu „prałatów o białych dłoniach" i „burżujów rozpierających się w kościele", nie zauważamy innego oportunizmu, jaki szerzy się wśród katolików od lat kilkudziesięciu. Ten drugi oportunizm nie chwyta za brzuch ale za głowę. Nie zasadza on się na kulcie porządku ale na kulcie siły. Nie tylko siły fizycznej, brutalnej, ale także siły duchowej, bez względu na to z jakiego ona płynie źródła. Pierwszym większym prądem takiego oportunizmu w Kościele był przed pół wiekiem ruch zwany modernizmem. Zafascynowani postępami wiedzy dziewiętnastowiecznej intelektualiści katoliccy kapitulowali z dogmatów, które im się wydawały przestarzałe i niewspółczesne, nie do obrony wobec naukowej krytyki. Chcieli pogodzić Kościół z „życiem". W dziedzinie teologicznej objawiało się to „interpretowaniem" dogmatów, w dziedzinie społecznej konformizmem do modnych prądów politycznych i odrzuceniem wszelkiego autorytetu, nie pochodzącego z wyborów. Za ten podskórny związek z modernizmem został potępiony w r. 1910 chrześcijańsko-demokratyczny ruch „Sillon" w encyklice „Notre charge apostolique". Obok najszlachetniejszych pobudek reformatorskich nić tego oportunizmu modernistycznego przewija się we wszystkich „lewicowych" grupach katolicyzmu francuskiego i włoskiego.

Poczucie słabości własnej temperatury duchowej prowadzi współczesnych intelektualistów, o dużym nieraz poziomie umysłowym ale nie wykształconym charakterze, do czci wszelkiej siły duchowej. Szukają oni mocy, korzą się przed nią. Stąd słabość intelektualistów lewicowych europejskich i amerykańskich wobec komunizmu, tak jaskrawo widoczna w ostatnim dziesięcioleciu. Ale słabość ta nie ogranicza się do niewierzących, udziela się i intelektualistom katolickim. Komunizm jest silny duchowo nie tylko konsekwencją swoich uproszczonych formuł, zwalniających człowieka od szukania prawdy codzień i w wysiłku wewnętrznym, jest silny przede wszystkim ładunkiem nienawiści. Ludzie, w których charakter nie dorównuje inteligencji, czują nieodpartą atrakcję wszelkiej siły. I dlatego zapewne Pius XII w swojej alokucji do pisarzy katolickich na pierwszym miejscu z ogromnym naciskiem postawił nie sprawę intelektu ale sprawę charakteru.

Piszący te słowa przypomina sobie dokładnie wrażenie z pierwszego zetknięcia się przed wielu laty z katolikiem zafascynowanym siłą komunizmu. Był nim Henryk Dembiński, późniejszy filar komunizmu wśród Polaków. W owym czasie nie był on jeszcze komunistą i tylko żądał „nowej scholastyki" katolickiej, dającej formuły odpowiedzi na wszystkie kwestie i tylko chciał „ochrzcić komunizm" jako tę potężną nową siłę przyszłości. Z każdego słowa, które mówił czy pisał przebijało owo zafascynowanie siłą komunizmu, siłą nie treścią.

Dziś już wiemy, jak fałszywe było owo uginanie się przed siłą scjentyzmu dziewiętnastowiecznego katolików poprzedniego pokolenia. Następne pokolenie będzie mogło zapewne ocenić jak fałszywe jest uginanie się niektórych intelektualistów katolickich przed siłą duchową komunizmu.

Jest rzeczą zrozumiałą, że grupa tzw. katolików reżimowych w Polsce, odcięta nie tylko od opinii wolnego świata ale od opinii własnego narodu, bo opinia w kraju nie ma się jak zbiorowo przejawić, a skazana na ciągłe osobiste i pisemne kontakty z komunistami, ulega urokowi tej siły. Tym zrozumialsze, że składa się ona w du-

żej mierze z młodych ludzi z rodzin półarystokratycznych czyli tego środowiska, które odznaczało się zawsze poczuciem własnej słabości i poszukiwaniem siły opiekuńczej, które dostarczało kadr „realistów", „stańczyków" i prawego skrzydła BBWR. Mniej zrozumiałe pozornie jest to zafascynowanie siłą komunizmu, jeżeli pojawia się wśród emigracji polskiej. Ale tu wchodzi w grę inny czynnik psychologiczny: rozczarowanie i pretensja. Rozczarowanie do Zachodu i pretensja do Zachodu, te uczucia, które prostemu człowiekowi każą mówić o „katanach" i „dżemojadach". Dlaczego inteligenci polscy, tak surowi w krytyce wad kapitalizmu gdy są w Europie, milkną z szacunkiem Stanach Zjednoczonych, gdzie te wady są jaskrawsze? Bo widzą rozmach i siłę, bo ulegają czarowi siły, nie tylko siły bogactwa ale siły przekonania Amerykanów.

...i dwa rewolucjonizmy

Ale są na pewno i tacy katolicy, u których ten głębszy oportunizm nie gra roli decydującej, którzy przesiąknięci duchem apostolstwa wierzą w możliwość ochrzczenia komunizmu, jak niegdyś św. Jan z Damaszku wierzył w możliwość pogodzenia chrześcijaństwa z islamem. Zdarza się nawet słyszeć argument, że przecież bolszewicy już zmienili swój stosunek do religii i porzucili metodę fizycznego niszczenia chrześcijaństwa, jaką stosowali w 1917 r.

W jednym z listów do redakcji „Życia" czytaliśmy nawet informację, że Lenin rzekomo nawrócił się przed śmiercią a redakcja tego pisma parokrotnie wracała do myśli, że komuniści niekoniecznie są takimi wrogami religii, jak się uważa. „Wielu bowiem — pisał p. J. Tokarski w dniu 19 marca rb. — zaprzysiężonych wrogów religii, tak zwanych ateuszy, walczy nie z religią, lecz ze zlepkiem przesądów, przedstawianych i narzucanych jako religia przez jej niepowołanych apologetów", a 30 października r. ub. twierdził, że „Moglibyśmy łatwo doznać wstrząsu, jeśli byłoby nam dane „zobaczyć" jak wiele jest Boga na obszarach sowieckich, a jak mało w niektórych społeczeństwach, które z nawyku nazywamy chrześcijańskimi", co uzupełniał jakby 14 maja rb. słowami „Nie wolno twierdzić wbrew całej oczywistości, że „wschód — to ateizm", gdy wiadomo przecież, że Wschód jest intensywniej, choć inaczej religijny niż Zachód".

Warto wobec tego zastanowić się, czy komuniści istotnie w czymkolwiek zmienili swój zasadniczy stosunek do religii i czy Lenin należał do tych, którzy walczą nie z prawdziwą religią ale z przesądami przedstawianymi jako religia. Mamy tu bardzo przekonywający tekst w postaci broszury Lenina „O stosunku partii robotniczej do religii", pisanej jeszcze przed pierwszą wojną światową. Znajdujemy w niej kilka twierdzeń na pierwszy rzut oka sprzecznych, lecz w rzeczywistości stanowiących subtelną całość.

„Marksizm j e s t materializmem — pisze Lenin — z tego tytułu jest on równie nieubłaganie wrogi wobec religii jak materializm encyklopedystów XVIII wieku lub materializm Feuerbacha", co nie przeszkadza mu w innym miejscu stwierdzić: „Powinniśmy nie tylko dopuścić ale starać się wciągnąć do partii wszystkich robotników, którzy zachowują jeszcze wiarę w boga; jesteśmy absolutnie przeciwni najmniejszemu obrażaniu ich przekonań religijnych, lecz wciągamy ich, by ich wychować w duchu naszego programu". Co do owego programu czytamy tamże: „Wykład naszego programu zawierać musi także wyjaśnienie prawdziwych przyczyn historycznych i ekonomicznych zadurzenia religijnego. Nasza propaganda musi w sobie zawierać również propagandę ateizmu", natomiast gdzie indziej mówi: „Nie głosimy i nie powinniśmy głosić w naszym programie naszego ateizmu. Nie odmawiamy i nie powinniśmy odmawiać wstępu do partii proletariuszom, zachowującym resztki dawnych przesądów. Jeśli przychodzi do nas ksiądz, by poświęcić się wspólnej pracy politycznej i sumiennie wywiązuje się ze swych zadań w partii, nie przeciwstawiając się jej programowi, możemy go mieć w szeregach socjaldemokracji, gdyż sprzeczność ducha i podstaw naszego programu z przekonaniami religijnymi danego księdza może w tych warunkach pozostać jego sprzecznością wewnętrzną. Gdyby jednak taki ksiądz rozpoczął wewnątrz partii... czynną propagandę pojęć religijnych, partia bezwzględnie musiałaby go wykluczyć".

Z tych cytat dość jasno wynika, że cała taktyka komunizmu wobec religii była z góry przemyślana, że jego zmiany stanowiska nie są żadnymi zmianami, gdyż, wedle słów tegoż Lenina z 1909 r.: „Taktyka marksizmu wobec religii jest głęboko konsekwentna i dojrzale przemyślana przez Marksa i Engelsa. To, co dyletanci lub ignoranci biorą za wahania, jest bezpośrednim i nieuniknionym wynikiem materializmu dialektycznego". Wynika z nich także ogromna pewność siebie Lenina: nie ma on wątpliwości, że chrześcijanin w partii komunistycznej przestanie być chrześcijaninem, a co najwyżej będzie miał „sprzeczności wewnętrzne". Tu także znajdujemy uzasadnienie, dlaczego komuniści w Polsce zgadzają się. by ich partia składała się w większości z katolików, a także dlaczego popierają istnienie grupy katolików reżimowych. Wierzą oni, że w przyszłości „wychowają ich w duchu swego programu" i trzeba przyznać, że wychowanie to już zaczęli.

Czy katolicy mogliby rozumować odwrotnie, to jest przyjmować materialistów do Kościoła, pozostawiając im ich „sprzeczności wewnętrzne"? Oczywiście nie. Materialiści bowiem wierzą, że warunki materialne, zewnętrzne przesądzają formowanie psychiki i poglądów, idą oni od zewnątrz do wewnątrz, katolicy zaś idą od wewnątrz do zewnątrz, zaczynają swoją rewolucję od przewrotu w duszy człowieka. I tu jest najgłębsza różnica.

Jedną z największych przemian na świecie, prawdziwą rewolucją społeczną było zniesienie niewolnictwa. Wszystkie rozwinięte cywilizacje starożytności opierały się na niewolnictwie. Wszystkie cywilizacje niechrześcijańskie aż do naszych czasów uznawały i wykorzystywały niewolnictwo. Chrześcijaństwo nie ogłosiło programu zniesienia niewolnictwa. Przeciwnie, św. Paweł nawoływał niewolników, by byli posłuszni swoim panom. Równocześnie głosił on, że w obliczu Boga „nie masz wolnego ani niewolnika". Od tego czysto religijnego twierdzenia zaczęła się rewolucja, która doprowadziła do zaniku niewolnictwa w średniowieczu. Jeszcze w poprzednim pokoleniu można było twierdzić, że nie jest to zasługa chrześcijaństwa, lecz rozwoju stosunków ekonomicznych a niewolnictwo w krajach niechrześcijańskich jest tylko wynikiem ich zapóźnienia gospodarczego. W naszych czasach jednak mamy przykłady dwóch państw, które porzuciły chrześcijaństwo, a mianowicie Niemiec hitlerowskich i Rosji bolszewickiej. W obu tych państwach natychmiast powstało niewolnictwo a w Sowietach gospodarka w dużej mierze na nim się opiera. Według wiarogodnych obliczeń około 20 milionów ludzi jest tam w obozach niewolniczych. Istotnie, dla każdego kto ma po temu siłę, darmowe użycie człowieka do pracy jest pokusą tak silną i, czemu ukrywać?, ekonomicznie uzasadnioną, że tylko względy moralne mogą od wprowadzenia czy utrzymania niewolnictwa chronić.

Na tym przykładzie widać istotną różnicę między rewolucją jaką jest chrześcijaństwo a rewolucją materialistyczną. Chrześcijaństwo zmienia człowieka a poprzez człowieka zmienia instytucje. Chcieć chrześcijaństwo przekształcić na wzór materialistyczny, to znaczy żądać od niego, by ogłaszało gotowe formuły organizacyjne, by zaczynało od zmian urządzeń i poprzez urządzenia sięgało do dusz, jest to zapoznawać jego istotny charakter, jest to mieszać głębokie i trwałe działanie religii z doczesnym i przemijającym działaniem organizacji politycznych.

Kościół głosi za naszych dni ideę równie rewolucyjną jak była niegdyś idea zmiany stosunku pana do niewolnika a w konsekwencji zniesienie niewolnictwa. Jest to idea zmiany stosunku człowieka do człowieka w pracy i stosunku człowieka do pracy. Jest to ważniejsze niż zmiana jakichkolwiek form ustrojowych, rewolucja to bez porównania głębsza i większa niż przejście od systemu indywidualistycznego do kolektywistycznego.

Nie trzeba się spodziewać, że Kościół da tutaj formuły organizacyjne i slogany, nie trzeba w encyklikach społecznych wyszukiwać nazw i cyfr, trzeba zarazić się ich duchem a wtedy dokonamy rewolucji, której form jeszcze nie można sobie wyobrazić, a która doniosłością społeczną przekroczy wszystkie przemiany ostatnich stuleci i będzie trwała, gdy marksizmem zajmować się będą już tylko archeolodzy.

Doszedłszy do końca tych uwag, może czytelnik zrozumiał, dlaczego zajęliśmy się tak obszernie sprawą, która ma pozornie znaczenie lokalne. Zjawiska poglądów takich, jakie odnajdujemy na łamach „Życia" nie traktujemy jako skandalu w światku londyńskim ani jako zdrady narodowej, lecz jako odbicie dość szeroko krążących w świecie błędów. Dostały się one w środowisko polskie, szczególnie zasługujące na to, by mu oszczędzić zamętu myśli a nieszczególnie przygotowane do tego, by rozważać subtelne wątpliwości pięknoduchów. Paryski „Esprit" jest jednym z setek pism katolickich we Francji, londyńskie „Życie" jest jedynym pismem dla średnio czy wyżej wykształconych katolików polskich na wychodźstwie, przemawia ono niejako w imieniu Kościoła. Jeżeli więc zajmuje stanowisko jednostronne w sprawach co najmniej niepewnych i spornych, wprowadza poważny zamęt. Obawa przed skutkami tego zamętu skłoniła nas do szerszego i bardziej zasadniczego omówienia całej sprawy.

Z ŻAŁOBNEJ KARTY

ŚP. CZESŁAW MEISSNER

Zmarły dnia 29 maja rb. w Poznaniu dr Czesław Meissner był już przed Pierwszą Wojną Światową jednym z wybitnych przywódców społeczeństwa polskiego w ówczesnym zaborze pruskim. Od wczesnej młodości związany był z ruchem demokratyczno - narodowym, który odegrał tak wielką rolę w mobilizowaniu świadomości narodowej szerokich rzesz ludności polskiej Poznańskiego, Pomorza i Śląska i w walce z zaborcą. Równolegle ze swą działalnością polityczną śp. Czesław Meissner począł praktykować jako lekarz internista w Poznaniu i zyskał sobie od razu dużą pozycję w tym zakresie.

Pod koniec Pierwszej Wojny Światowej był jednym z tych, którzy przygotowali zbrojne wypędzenie Niemców z Wielkopolski. Należał potem do kierownictwa Naczelnej Rady Ludowej, która była pierwszą władzą oswobodzonych ziem zachodnich.

W niepodległej Polsce śp. Meissner również dzielił swój czas między pracę zawodową a wytężoną działalność polityczną i społeczną. Był przez szereg lat prezesem Zarządu Okręgowego Stronnictwa Narodowego na Wielkopolskę. Wchodził przez kilka lat do Senatu Rzeczypospolitej.

W mieszkaniu swym przy ul. Libelta 12 gościł często Romana Dmowskiego w czasie jego pobytu w Poznaniu. Jako lekarz dr Czesław Meissner był dyrektorem poznańskiego szpitala Przemienienia Pańskiego. Miał nadto bardzo liczną klientelę prywatną. Znany był jako człowiek dobry i uczynny.

Drugą Wojnę Światową śp. Czesław Meissner spędził w Wielkiej Brytanii jako lekarz Wojsk Polskich najpierw na terenie Szkocji, później w Londynie. Po wojnie wrócił do Poznania — i tam dokonał życia w wieku lat ponad 70.

Cześć Jego pamięci!

Z ŻYCIA SPOŁECZNEGO

GLASGOW PRZECIW AKCJI „SKARBU NARODOWEGO"

W Glasgowie odbyło się w Domu Kombatanta zebranie na temat Skarbu Narodowego, urządzone staraniein... Koła 9 Pułku Ułanów Małopolskich.

Jako referent zebrania wystąpił p. Zygmunt Nowakowski, zastępujący uprzednio zapowiedzianego p. Zygmunta Rusinka.

Po referacie p. Nowakowskiego odbyła się ożywiona dyskusja, w czasie której przedstawiciele społeczeństwa polskiego w Glasgowie wyrazili swój krytyczny stosunek do sprawy Skarbu, nie szczędząc prelegentowi kłopotliwych pytań.

Jeden z mówców wyraził głębokie ubolewanie, że Koło 9 Pułku Ułanów Małopolskich dało się użyć do akcji jednostronnie politycznej.

Na zakończenie uchwalono na wniosek z sali rezolucję treści poniższej:

„Społeczeństwo polskie na emigracji, od dłuższego czasu stoi w obliczu narzucania mu faktów dokonanych, zarówno w zakresie reprezentacji narodowej i państwowej, jak i w zakresie organizowania środków, umożliwiających wykonywanie zadań politycznych emigracji.

Pomijanie opinii emigracji i łamanie woli kraju, staje się systemem, na który ma się bez zastrzeżeń zgodzić nasze społeczeństwo na tutejszym terenie.

Społeczeństwo polskie na emigracji zbyt jest świadome swych zadań i obowiązków, ażeby mogło przejść do porządku dziennego nad machinacjami znanego nam wszystkim zespołu, którego karta działalności, zarówno w kraju przed wojną, jak i obecnie na emigracji, nakazuje jak najbardziej stanowczo odcięcie się zdrowo myślącego społeczeństwa od takich i tym podobnych praktyk.

Jak najbardziej jaskrawie uwidacznia się to w akcji na rzecz Skarbu Narodowego, przekształcanego w imprezę jednostronnie polityczną, przy kompletnym nie liczeniu się z głosem opinii społecznej, w złudnym mniemaniu, że fakty dokonane społeczeństwo na emigracji przejmie za swoje bez słowa protestu i przeciwdziałania.

W tym stanie rzeczy, uczestnicy zebrania w Glasgowie, zmuszeni są stwierdzić, że:

1) Organizowanie daniny na Skarb Narodowy winno być odłożone do czasu, kiedy nastąpi przywrócenie naruszonego porządku prawno-konstytucyjnego i politycznego, i w ten sposób powstaną warunki dla możliwie pełnej jedności narodowej.

2) Zanim te warunki powstaną, ofiarność społeczeństwa polskiego powinna znaleźć wyraz w popieraniu zbiórek na fundusze społeczne, ogłaszane przez organizacje i instytucje polskie na cele kulturalno-oświatowe, obrony interesów zawodowych i społeczną akcję propagandową. Zbiórki takie z chwilą powstania odpowiednich warunków będą mogły być połączone w ogólny system daniny polskiej".

WYSTAWA POLSKIEJ SZKOŁY ARCHITEKTURY

Polska Szkoła Architektury (School of Architecture of Polish University College) urządziła we własnym gmachu wystawę prac 158 swoich wychowanków, w tym 32 tegorocznych absolwentów. Wystawa przedstawia całokształt prac utworzonej w r. 1940 w Liverpoolu i przeniesionej następnie do Londynu uczelni.

Wykonane prace dyplomowe obejmują szereg tematów: centrum prasowe na Fleet Street, projekt wielkiego domu Commonwealthu, nowego lotniska londyńskiego, uniwersytetu w Richmond, nowego gmachu opery, przebudowy południowego brzegu Tamizy na dzielnicę mieszkalną, nowe rozwiązanie Hyde Park Corner i wiele innych.

POLACY W AUSTRALII

W książce „Polacy w świecie" wydanej przez „Światpol" w r. 1946, podano ilość Polaków w Australii na tysiąc osób. W ciągu minionych niecałych czterech lat ilość ta powiększyła się prawie 30-krotnie. Początek dali „Szczury Tobruku", potem duża liczba byłych wojskowych, przeważnie lotników z Wielkiej Brytanii i wreszcie wciąż napływający „dipisi". Na ogół przybywający tu Polacy dalej przyjeżdżają na tzw. kontrakt, który obowiązuje do dwuletniej pracy wskazanej przez federalne władze imigracyjne. W praktyce jednak kontrakt trwa przeważnie 18 miesięcy a zdarzają się wypadki zwalniania i po upływie roku. Po zwolnieniu się z kontraktu emigrant jest zupełnie wolny i nieskrępowany w wyborze pracy i miejsca osiedlenia. A pracy i to dobrze płatnej jest dla chętnych w Australii masę. Jest to kraj, gdzie bezrobocie praktycznie nie istnieje a rynek pracy wciąż jest nienasycony.

Australia jest krajem ogromnym i Polacy są tu, niestety, rozrzuceni po całym kontynencie. Duże polskie skupiska znajdują się w Perth (Zachodnia Australia), Adelaide (Południowa Australia), Melbourne (Victoria), Sydney (Nowa Południowa Walia), Brisbane (Queensland) i na Tasmanii. We wszystkich tych ośrodkach powstały polskie organizacje. Niestety powstały wszędzie parami, po dwie, o tych samych celach i zadaniach, a tylko ze względu na rozgrywki personalne zamiast iść razem trwonią czas na spory między sobą.

Na główny ośrodek Polonii australijskiej zaczyna się wysuwać Sydney. W Sydney i okręgu przebywa już około 5 tysięcy Polaków i tu — do tego największego miasta Australii— ściągają pomału Polacy po ukończeniu swych kontraktów pracy. Tu istnieje najstarsza bodaj w Australii polska organizacja „Polski Związek Narodowy", opanowany przejściowo—ku końcowi wojny i zaraz po niej — przez warszawskich komunistów a następnie znów zwrócony polskości przez naszych lotników przybyłych z Brytanii. Tu powstało, po odejściu większości członków z Polskiego Związku Narodowego (do dziś nie wiem dlaczego ta większość oddała bogaty wówczas związek małej grupce komunistów), i działa Polskie Towarzystwo Demokratyczne, wydające jedyne w Australii polskie pismo na powielaczu, dwutygodnik „Wiadomości Polskie". W Sydney ma siedzibę Tymczasowa Rada Naczelna Organizacji Polskich w Australii. Wreszcie ważnym czynnikiem w utrzymaniu spójni między Polakami jest polska parafia w Sydney, mieszcząca się przy dużym kościele, wydająca własny dwutygodniowy biuletyn.

Przyszłość natomiast i to już najbliższa winna przynieść usilne starania tutejszych organizacji o stworzenie tygodnika polskiego, dużej biblioteki i Domu Polskiego w Sydney, jako największym skupisku Polaków. Zadania niewątpliwie trudne i wymagające dużo wysiłku od ludzi, którzy przecież cały dzień zajęci są ciężką, nieraz fizyczną, pracą. Przy dobrej woli wszystkich, przy odrzuceniu dawnych urazów osobistych czy politycznych może tu wyrosnąć Polonia świadoma swego pochodzenia i dziedzictwa polskiej kultury narodowej i, choć daleka od kraju w przestrzeni, przecie dlań nie stracona.

tn.

LISTY DO REDAKCJI

(Odpowiedzialność za poglądy wyrażone w listach do Redakcji ponoszą wyłącznie ich autorzy)

SWOISTE METODY

Szanowny Panie Redaktorze,

Zaraza metod sanacyjnych nie ominęła również spokojnego do niedawna hostelu Keevil. Krzewicielem jej, choć nie rzeczywistym mózgiem, jest mjr J. Mazur, prezes koła SPK Nr 380. Występy swoje rozpoczął przed zjazdem Oddziału, gdy starał się zdyskredytować mnie jako delegata na zjazd.

Na zebraniu informacyjnym przed zjazdem, wyciągnął pewną drugorzędną sprawę, w której zająłem stanowisko jako członek zarządu Koła, i korzystając z chwilowej mej nieobecności przedstawił ją w zupełnie fałszywym świetle. Gdy wróciłem, wywiązała się dyskusja, w której potępiono moje wystąpienie, zanim zwrócono się do mnie o wyjaśnienia. Następnie prezes Mazur „podał do dymisji" cały zarząd (dwa głosy na dwa), by nie było komu podpisać mi upoważnienia na zjazd.

Mimo „dymisji" p. Mazur uważał się za upoważnionego do zwołania następnego walnego zebrania, na które przybyło specjalnie dobranych 8 osób. Rozpoczął się nade mną wzorowany na przykładach wschodnich sąd. Różnica była ta, że nie żądano ode mnie wyjaśnień. Gdy je na końcu złożyłem i postawiłem z kolei swoje zarzuty, nie starano się ich rozpatrywać lecz zawieszono mnie jako członka, na podstawie zgłoszonych rezolucji. Zgłaszający rezolucję p. Półtórzycki nie mógł jej uzasadnić w czym wyręczył go bieglejszy w demokratycznej procedurze p. Pencarski, zobowiązując się dostarczyć dowodów w ciągu trzech dni.

Na obydwu posiedzeniach przewodniczył dr Z. Sumara, którego trudno mi podejrzewać o tak zasadniczy brak znajomości zwyczajów cywilizowanych, jaki wykazał. P. Mazur jest znanym zwolennikiem zmiany obywatelstwa polskiego, poza „terenem służbowym".

Jest dziwnym zbiegiem okoliczności, że wymieniona grupa ludzi popiera zbiórkę na Skarb Narodowy.

T. HOBLER.

ERRATA

Do artykułu w poprzednim numerze pt. „Korea" zakradł się błąd. Zdanie poprawne (szpalta druga, ustęp drugi) powinno brzmieć: „Jeśli przeprowadzić na mapie dwie linie proste, jedną z Moskwy do Tokio a drugą z Szanghaju do Władywostoku, to skrzyżują się one w miejscu, gdzie leży milionowe miasto Seul, stolica Korei".

DO PRENUMERATORÓW W BELGII

Abonenci, którzy dotychczas opłacali prenumeratę „Myśli Polskiej" za pośrednictwem księgarni „La Colonne" winni od 1 sierpnia br. wpłacać prenumeratę naszemu nowemu przedstawicielowi p. Maciejowi Cybulskiemu, hôtel de Boeck's, 40, rue Veydt, Bruxelles, konto czekowe CCP 2889.86.

„MYŚL POLSKA"
założona w 1941 r. w Londynie, ukazuje się dwa razy w miesiącu. Redakcja i administracja: 8, Alma Terrace, Allen St., London, W. 8. Tel. WEStern 1797. Prenumerata półroczna 18 sh lub 3 dol., roczna £ 1.16.0 lub 6 dol.